

Rozdział I.

Jeszcze nie do końca umarły Szik, ten zewłok, nie do końca, zda się przepoczwarzony w Kowalskiego spoczywał na łóżka pantałyku. Nie spał, myślał. Całą noc. Mimo, iż leżał praktycznie w bezruchu, nie wstawał, ani na siku, ani po nic, nie wydawał prawie żadnych odgłosów, nie przewracał się nawet z boku na bok, drętwiał i przestawał drętwieć, jakoś bez rozruszania kończyn, i znów drętwiał, to zaglądali do niego kilkakrotnie i matka i ojczym. Matka przychodziła z ciepłymi słowami, ojczym w tym guście też, lecz głównym ich, bodaj zamysłem i potrzebą było w zasadzie, raczej, głównie, przede wszystkim, tylko uspokojenie samych siebie. Że nic się nie dzieje, wszystko w porządku i spokój. Nie sposób tych patriarchalnych i matriarchalnych wizyt wytłumaczyć czymś innym niż faktem, iż Szik musiał wydawać jakieś odgłosy, drażniące, choć, a jednak, z drugiej strony, ale to koniecznie z drugiej strony, można by ewentualnie uzasadnić te peregrynacje do szikowej sypialni, tej nory przytulnej, bodajże pierwiej kielkującym u rodzicielki i jej obecnego życiowego partnera wspomnianym niepokojem, który, nawet jeśli zrodzony na podstawie dziwnego ostatnio zachowania Szika w domu, polegającego, z grubsza na pewnej nerwowości i rozchwianiu w połączeniu z wiedzą o mającym nastąpić następnego ranka wyjeździe, również trybu życia mógł być niepokojem przesadzonym i nie mającym jakichkolwiek większych podstaw, czy źródła w wydarzeniach tej nocy, których wcale, ale to wcale, przynajmniej jeśli chodzi o zewnętrznie widzialne zjawiska prawdopodobnie nie było, czy też najprawdopodobniej mogło nie być. Raczej nie trzeba, nie warto, byłoby przesadą odwoływać się do jakiegokolwiek wymyślnego obrazowania, metaforycznego, symbolicznego, i każdego innego. A może były, może były jakieś odgłosy, może ciało Szika, niezależnie od Szika samego, może wespół z czymś w tym ciele zawartym, może wręcz za sprawą tego czegoś, domagało się uwagi ze strony tych co byli pod ręką i sygnalizowało to na swój sposób.

Jedno jest pewne. Szik myślał. Myślał. Ponadto czegoś w rodzaju wizji doznawał. Lepiej litościwie ocenzurować te myśli, nie przedstawiać całej tej ich nadzwyczajnej, wizyjnej otoczki i opisać, więcej, o radości, skopiować rzeczywistość, to jest przytoczyć tylko ostatnie ich, myśli tych, o łasko, wyraźnie wypowiedzianych, podrygi, od biedy układające się nawet w coś w rodzaju konkluzji:

Ten buc Kowalski za wiele sobie zawsze wyobrażał. Nie wiem czy dam radę tak jak on. Na co ja się w ogóle porywam... Idiota.

Zadzwoił budzik. Ten ktoś w łóżku zerwał się nagle. Poszedł szybkim krokiem do łazienki, przewracając po drodze oparty o krzesło wysoki, czerwony plecak. Wysikał się. Przemył twarz zimną wodą. Spojrzał w lustro. Patrzył długo z napięciem. Następnie nastąpiło coś następującego. Bezstronny obserwator, widząc jego twarz nie odgadłby co się dzieje w jego głowie, nawet jaki ma nastrój, najprostszych emocji by nie odczytał, wiedziałby tylko, że coś dziwnego się dzieje, coś jest nie w porządku. Usłyszałby natomiast słowa, które, dosyć mechanicznie, z szybkością karabinu maszynowego, o intonacji będącej mieszaniną, papką, bo przecież nie musem, niezbyt dobrze rozrobioną i spoistą, różnorodnych zabarwień

emocjonalnych, wychodziły z ust umieszczonych w głowie osadzonej na korpusie ciała, które ślęczało nad umywalką patrząc się oczyma w swej głowie wymownie w lustro:

Ten buc Szik nigdy nie troszczył o mającą się odbyć podróż zbyt mocno. Nie myślał. No, coś tam myślał, mizernie, choć długo i oczywiście, bo jakże by inaczej tylko o sobie, o swoich obawach. Nie planował. Nie przygotowywał. Nieraz czegoś oferma zapomniała. Czegoś tam nie doprała na czas. Czegoś potrzebnego, łajza nie załatwiła. Jedynie, ofiara w poprzedzającą podróż noc długo, albo nawet wcale nie spała. Chyba tylko żeby jeszcze spotęgować swoją rozlazłość gdy nastanie ważny poranek. Ciota.

Tak więc oto zaczęło się. Coś się rozpoczęło. Lecz co? Nie wiadomo. Po pierwsze sam Szik nie wiedział, już z tego względu przecież, iż być może go już nie było, a to co powstało na poprzedniej szikowej osnowie, dysponując li wrywkową, czyżby?, pamięcią o stanach umysłu swego poprzednika, nie było w stanie tego właściwie ocenić. Po drugie obserwatorzy, zarówno ten główny, dysponujący perspektywą najszerszą, jak i ci pomniejsi, czyli domownicy z pewnością nie mieli jeszcze właściwej orientacji, zwłaszcza ci drudzy, bo ten pierwszy jakąś musiał, powinien mieć, pewnikiem byli zaskoczeni. Nawet, co może się wydawać dziwnym i nielogicznym, ten pierwszy. A ponad wszystko nie zdążyli by, czy wręcz nie zdążyli skonfrontować tego wszystkiego z jakże ważnym czynnikiem, czyli własnymi emocjami, zapatrywaniem, obserwacjami, dążeniami, pragnieniami. To ostatnie u głównego obserwatora, tego mrocznego demiurga sytuacji i zdarzeń wydaje się być najdziwniejszym w tej całej układance. Chyba że nie był, nie jest on demiurgiem lecz jedynie aranżerem chaosu, ale to też nie za dobrze. Jeżeli nie ma chaosu to był, jest on zwykłą fajtlapą, ślepcem, miernotą, nieczułą sceptyczną kreaturą... Jest jeszcze trzecia ewentualność. A mianowicie taka, że ten ktoś, to coś?, stara się, dąży i w końcu znajdzie. No chyba że opozycja chaos-ład nie jest właściwym określeniem. Lecz wtedy pozostaje jeszcze jedna nadzieja: że znajdzie inną. Nie wolno nigdy, niczego ostatecznie przesądzać. Chociaż, jeszcze z innej strony, jeżeli ewentualności jest zbyt wiele to każdy się przecież pogubi, w końcu, albo już na samym starcie, czy też gdzieś po drodze. A droga długa i daleka, nawet jeśli nudna i monotonna, nawet jeśli do bólu przewidywalna.

Tymczasem, bardzo być może, wypada, można się odważyć by a`propos powyższej scenki przed lustrem dokonać by pewnego by sprostowania by, wyjaśnienia, dookreślenia, wzmianki, przypisu, komentarza... Ów bezstronny obserwator, ten był, nie do końca bezstronny, bo to, z pewnych powodów niemożliwe, mógł słyszeć powyższe tylko na zasadzie jakiejś wizji. Być może z ust odbijających się w lustrze nie dobiegły się żadne dźwięki.

Matka pożegnała swojego syna. Mniejsza o to czy Szika, czy Kowalskiego, choć akurat jej z pewnością sprawiałoby to różnicę. Zaspana i zmęczona, wyprana tym zmęczeniem z emocji. Ojczym nie wstał. Wypiął się. Wyparł. Oj, zrobiło się Szikowi, smutno i przykro. Przez chwileczkę.

Postać, która wyszła z mieszczącego się na obrzeżach miasteczka domu, nie spotkawszy po drodze nikogo i niczego, doszła po pewnym czasie na przystanek autobusowy. Na jej sylwetkę,

oprócz odzianych w czerni skórzanych trzewików stóp, nóg i bioder pokrytych granatowym dżinsem spodni, torsu w czarnej krótkości kurtki, głowy o niezbyt długawych włosach przyobleczonej w kaptur czarnej bluzy, z osadzonymi na nosie drucianymi, niezbyt nowoczesnymi, nie nazbyt staroświeckimi okularami korekcyjnymi, o twarzy bez wyrazu, jakby bez życia, z okularami na nosie, składał się jeszcze duży czerwony plecak. Coś było na przystanku. Stały tam już dwie postaci, jakby osoby, lecz też w oglądzie musiały być z ciężkim sercem uznane za jakby życia pozbawione. Czy czegoś. Czegoś zdawały się nie mieć. W każdym razie. Zdawało się tak i Szikowi i zdawać się mogło...by bezstronnemu obserwatorowi. Komu by się zdawało z ciężkim sercem a komu niezbyt lub zupełnie nie, nie sposób chyba ustalić. Krótko to podsumowując: czerwony plecak, jeżeli chodzi o kwestię życia, ciepła, czucia, czy czego, nie różnił się wiele od reszty sylwetki, i to nie tylko jeśli chodzi o postać do niego przylepioną, czy też odwrotnie, lecz również jeśli chodzi o wzajemne relacje pomiędzy sylwetką z plecakiem a pozostałymi obiektami na przystanku, i to nie tylko człowieczymi.

Wszystko odbyło się właściwie bez słów. Padły zdawkowe spojrzenia. Autobus dość szybko nadjechał. Również i on, autobus został obdarzony zdawkowymi spojrzeniami, podobnie jak wcześniej wszystkie kształty niby ożywione, i te nie ożywione, na przystanku i w jego najbliższych okolicach. Jedynie postać z czerwonym plecakiem chwilę, nawet dłuższą, to jest długą do ostatniego momentu, wyczutego, przed spodziewanym przez pozostającego nadal poza pojazdem jeszcze ostatniego pasażera, wpatrywała się, ta postać pasażerska, w coś innego i jakby inaczej, z większym natężeniem, które, w pewnych okolicznościach bezstronny obserwator mógłby określić mianem wzruszenia. Sylwetka z czerwonym plecakiem skierowana była frontem siebie sobie ku temu co było za przystankiem, to jest niezbyt rozległe łąki ze zwiedłą, wysuszoną nocnym mrozem trawą. Podczas wsiadania wszystko odbyło się szybko i sprawnie, utartymi przez setki powtórzeń, przy do granic już posuniętemu zmęczeniu materiału szlakami. Kierowca nie wydał z siebie ani jednego dźwięku. Wsiadający, jako zbiór, również czerwony plecak, użyli tylko dwóch wyrazów: normalny lub ulgowy, i udali się z biletami w dłoniach lub już w kieszeniach zając miejsca siedzące.

Pojazd już jechał. Czerwony plecak przemieszczając się do tyłu autobusu obijał się sobą, dłońmi, ramionami, biodrami, udami o siedzenia. Przemieszczał się ruchem jak targany niezbyt silnym wiatrem foliowy worek. Przemieszczał się jakby nóg nie miał, a przecież zwiślały u dołu tego całego wszystkiego. Zwiślały. Po dotarciu na do ostatniego siedzenia to coś spoczęło, przestało się poruszać i znieruchomiło. Reszta wchodzących w zasadzie powtórzyła to wszystko, chyba tylko na mniejszą skalę.